

Stary pickup

Dochodzi szosta. Zwlekam się z łóżka prawie z płaczem. Nienawidzę wstawac gdy jest noc za oknem. A zima o szostej rano jest jeszcze całkiem ciemno. Szybciutko wrzucam na siebie robocze ciuchy. W kuchni cicho bulgocze kawa w ekspresie. Aromat powoli roznosi się po całym mieszkaniu. Robi mi się jakos razniej na duchu, chyba nawet usmiecham się leciutko. Kawusia. Jeszcze tylko szybciutki skok do lodowki po troche skondensowanego mleczka i już jestem na mrozie z dymiacym kubkiem w dłoni. Jest zimno jak fiks. Oj będzie dzisiaj jazda!

Wycofuje ostrożnie po zmarzniętym śniegu. Skrzypi pod kołami.

Ruszam powoli w kierunku chalupy szefa. Mieszka niedaleko. Wiem, że moje auto nie zdąży się rozgrzac, więc z zimna dzwonię bezsilnie zębami. Jestem na miejscu po pięciu minutach.

Bez przygod. Bez poślizgów. Nawet tych kontrolowanych. Nie w głowie mi dziś takie zabawy.

Jest mi zbyt zimno. Zbyt samotnie. Zbyt nieszczęśliwie. Dobrze, że chociaż mogę sobie saczyć kawę z mego ogromnego kubka. Gdyby nie to pewnie bym zamarzył dzisiejszego poranka.

Z zimna lub samotności.

Pod domem na podjeździe szczerzy się do mnie w złośliwym uśmiechu pysk dwudziestoletniego Chevroleta. To paskudnie bordowa polciezarowka, która tu nazywają pickup.

Wredne pordzewiałe paskudztwo. Niestety trzeba się przesiasc. Niestety, bo w moim autku

zaczęło się właśnie robić przyjemnie, ciepłutko. Liczę do trzech i wyskakuję na mroz.

Po trzech sekundach siedzę już na lodowatym siedzeniu w szoferce bordowego pickupa. Drżąc z zimna reka przekrecam kluczyk w stacyjce. Coś rzezi jakby miało za chwilę zdechnac. Coś klekoce. Przymrozone rozrusznik z trudem robi pierwszy obrot. Potem już szybciej drugi, trzeci i czwarty. Silnik zaskakuje. Całym autem zaczyna rzucać to w gore to w dol i troche na boki. Ja podskakuje na siedzeniu w szoferce jakbym siedział

na rozjuszonym byku na rodeo w Texasie. Po dziesięciu sekundach praca motoru wyrównuje się

jako tako. Nic już się nie telepie. Z wyjątkiem mnie. Z tym, że ja telepie się z zimna. Włączam ogrzewanie "ina full!", choć wiem, że przez najbliższe dziesięć minut nie uswiadcze

ani troche gorącego powietrza z nawiewu. Dobrze, że mam ze sobą mój gorący kubek. Kochana kawusia.

Szyby kabiny są całkiem zamrożone. Wyglądają jakby były zrobione z ozdobnego mleczno-białego,

matowego szkła. Nic przez nie nie widac. Nawet światel, które przed chwila włączyłem.

O nie! Nie wylazę z powrotem na te minus dwadzieścia! Sprawdzam delikatnie palcem.

Jest dobrze. Wszystko jest zamrożone od środka. Pochyliłem się do przodu i mozolnie wychuchuję sobie "okienko" wielkości odpustowego lizaka. Boczne szyby zostawiam jak są.

Opuszcze je sobie jak bede musial cos widziec przy skrecie. Do autostrady wszystko sie odmrozi. Przez chwile sie zastanawiam i jednak wrzucam naped na cztery kola. Hamulec, ðdriveî (to automatic) i ruszam. Powoli. Przednie lozyska piszcza, zgrzyta korbowod, cos dzwoni w tlumiku. Jak zawsze.

Pomykam powoli po pustych jeszcze o tej porze ulicach kierujac sie w strone autostrady.

Mijam przystrojone swiatecznie domy, przejezdzam pod wiaduktami, kilka razy zatrzymuje sie na swiatlach. Z kazda minuta moje ðwychuchaneî okienko robi sie wieksze i wieksze. Szron na bocznych szybach powoli zaczyna odmarzac. Robi sie coraz cieplej w sfoferce. Juz sie nie trzese i wciaz sacze moja goraca kawe. Wraca optymizm i pogoda ducha. Jeszcze tylko dwa skrzyzowania, swiatla i wskakuje na autostrade. Rozpedzam gruchota do

szescdziesieciu mil na godzine. O dziwo przy tej predkosci cichna wszystkie dziwne dzwieki

zdezelowanego pickup'a, jakby ðstaruszekî zamilkl zdziwiony, ze moze jeszcze tak gnac. Suniemy gladko po bialej od soli niedawno wyremontowanej szesciopasmowej szosie. Rozcinane pedem powietrze szumi delikatnie a silnik mruczy zadowolonym basem. Przymruzam dalikatnie oczy i staram sie nie widziec tych wszystkich samochodow przemykajacych

obok mnie. Wyobrazam sobie, ze pedze samotnie po pustej autostradzie. Przez kilka minut

czuje sie jak ostatni czlowiek na ziemi. Jak Mel Gibson w Mad Maxie gdy przemierzal swoim

czarnym autem spustoszona kataklizmem ziemie. Istnieje tylko droga, ja i bordowy gruchot,

na ktorego tylnej szybie szef dla draki nalepil napis ðLSA EXPLORERî.

Jeszcze chwila i biore zjazd na Irving Park. Kobieta w budce spoglada na mnie obojetnie

znudzonym wzrokiem. Mam ochote pokazac jej jezyk. Niebieska lampeczka mruga, szlaban na bramce

podnosi sie i zjezdzam w kierunku lotniska. Czar pryska. Z wysokosci rampy widze juz osniezone OíHare. W oddali przypominajacy pekate cygaro maly Boeing podrywa sie do lotu.

Jeszcze chwila a zaparkuje przed American Airline Cargo. Potem podpisze kilka kwitow i wrzuce na pake kilkanascie pudelek. Przede mna kolejny dzien jak codzien.

Dzien, w ktorym jak zwykle nie zdarzy sie nic niezwyklego.

Nie jestem ostatnim czlowiekiem na ziemi. Zadnym Mad Maxem.

Jestem zwyklym gatarbaiterem jakich tysiace zyje w mojej Ameryce.